



Z Tomaszem Potkajem, dziennikarzem i pisarzem
rozmawiają Krzysztof Masłoń i Tomasz Zbigniew Zapert

Związek inżynierów

KRZYSZTOF MASŁOŃ I TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Pana książka „Akwarium. Opowieść o Związku Literatów Polskich z PRL-u” idealnie trafiła w swój czas, gdyż jesteśmy świadkami kolejnej odsłony walki o Dom Literatury w Warszawie. Do narodzin tego miejsca – tak silnie osadzonego w stołecznym krajobrazie od ponad siedmiu dekad – rzeczywiście przyczynili się pisarze?

TOMASZ POTKAJ: Prawda miesza się tu z legendą. Kiedy po drugiej wojnie światowej podjęto decyzję o rekonstrukcji Traktu Królewskiego i sprecyzowano

adres nowej siedziby Związku Literatów Polskich, pośród jego członków istotnie przeprowadzono zbiórkę na ten cel. Nie wydaje się jednak możliwe, aby z mizernych datków ludzi pióra, którzy jak większość Polaków tamtych czasów byli biedni, niczym myszy kościelne, odbudowano dwa duże gmachy. W znacznym stopniu je zresztą modernizując, bo przecież kamienicę Johna poszerzono i pozbawiono piwnic – ich miejsce zajęła przestrzeń, gdzie usytuowano pierwsze w Warszawie

schody ruchome łączące nowo powstałą Trasę W-Z z placem Zamkowym. Natomiast front kamienicy Prażmowskich odtworzono na podstawie XVIII-wiecznych sztychów malarskich Canaletta. Koszt tych inwestycji bez wątpienia wyraźnie przekraczał możliwości finansowe literatów. Głównym płatnikiem było więc państwo.

Dom Literatury służył nie tylko zebraniom i spotkaniom autorskim. Przychodzono tam też coś zjeść i wypić. Miał nawet lokatorów...

Otwarcie III Zjazdu Związku Zawodowego Literatów Polskich, który obradował w dniach 17–20 listopada 1947 r. Przemawia Stanisław Albrecht FOT. PAP

dusz

Ostatnią była Hanna Ożogowska mieszkająca tam do swej śmierci w połowie lat 90. W Domu Literatury zlokalizowano osiem mieszkań. O ich przydziałach decydował Zarząd Główny ZLP. Ustawiały się po nie długie kolejki oczekujących kwaterunku. Prześcigano się w pisemnych podaniach, przedstawiając swą sytuację bytową w jak najczarniejszych kolorach, żeby tylko zmiękczyć serca decydentów.

Lokale były rozmaitej wielkości, wszystkie z tzw. wygodami, no i usy-



Kamienica Prażmowskich w Warszawie, siedziba Związku Literatów Polskich FOT. ADOBE STOCK

tuowane w niezwykle prestiżowym miejscu miasta. Nic zatem dziwnego, że stały się obiektem marzeń wielu pisarzy. Najślawniejszą lokatorką była niewątpliwie Zofia Nałkowska. Zacumowała tam w roku 1949, po przeprowadzce z Łodzi. Będąc posłanką, mogła skorzystać z mieszkaniowej puli sejmowej, ale wolała ten adres, zapewne bliższy jej sercu. Otrzymała najelegantszy lokal, który po jej śmierci przejął Robert Stiller.

Najbardziej uciążliwy lokator Domu Literatury...

Pieniacz, to po pierwsze, a po drugie człowiek w jakimś sensie chyba zaburzony, co nie przeszkodziło mu być Tajnym Współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa. To, że pozostawił ślady po sobie w licznych archiwach, pozwoliło mi pieczołowicie odtworzyć historię człowieka, któremu przydzielono mieszkanie, a który potem sukcesywnie odmawiał wyprowadzki, kiedy zarządca – czyli ZLP – miał wobec lokalu inne plany. Wielokrotnie i bezskutecznie nakazując Stillerowi opuszczenie mieszkania.

Pańska wnikliwa kwerenda ujawniła rzeczy nie zawsze chwalebne. Dajmy na to donos brata naszego noblisty.

Andrzej Miłosz w roku 1955 zawiadomił Zarząd Główny ZLP, że należący do związku pisarz Władysław Lubecki, po swych spotkaniach autorskich w Zakopanem, gdzie mieszkał w tzw. Domu Pracy Twórczej, pobierał od publiczności opłaty. Miłoszowi wydało się niestosowne, by członek ZLP tak postępował, toteż skierował odpowiednie pismo do zarzą-

du głównego. Ów po zbadaniu sprawy relegował Lubeckiego ze związku, i to w sposób łamiący statut organizacji, bo nie był władny podejmować takich decyzji. Tym sposobem człowieka pozbawiono praw do obiadów w stołówce Domu Literatury, stypendiów, zapomogi... Niebawem podupał na zdrowiu i umarł.

O tej wstydlivej sprawie zapewne nigdy byśmy się nie dowiedzieli, gdyby wdowa po Lubeckim nie pojawiła się na zjeździe ZLP w Katowicach (rok 1960). Czy udało się jej przemówić z trybuny czy też nagłośniła incydent podczas rozmów kularowych, nie wiem. Interweniował jednak sam prezes Jarosław Iwaszkiewicz. Nakazał powołanie specjalnej komisji do zbadania sytuacji i wkrótce okazało się, że Lubeckiego usunięto z ZLP bezprawnie. Zmarłemu przywrócono sprawiedliwość, a wdowa – być może – dostała jakieś świadczenia.

À propos zjazdów. Przypomina pan, że ZLP organizował je częściej niż Komitet Centralny Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego!

W początkowych latach Polski Ludowej odbywały się rokrocznie. Potem co trzy lata, obecnie co cztery. Decydowały o funkcjonowaniu ZLP. Po pierwsze, wybierano zarząd. O prezesie nie mówię, ponieważ przez dwudziestolecie stanowisko to piastował Jarosław Iwaszkiewicz. Poza jednym zjazdem – w Łodzi w roku 1972, kiedy w szranki o fotel prezesa stanął z nim Igor Newerly, oczywiście przegrywając – nie miał kontrkandydatów. Powiedzmy sobie jednak otwarcie, że wybór szefa ZLP

■ kontrolowała PZPR. Jedynie raz – pod koniec „gorącego” politycznie roku 1956 – kierującego związkiem obwołano bez konsultacji z partią. Został nim Antoni Słonimski, aczkolwiek pierwszym wskazaniem środowiska była wówczas Maria Dąbrowska. Tyle że odmówiła, sugerując autora „Alarmu”. A gdy skończyła się jego kadencja, namaściła Iwaszkiewicza.

Zjazdy odbywały się w różnych miastach, trwały po kilka dni, brała w nich udział ponad setka delegatów. Mogli zaistnieć, przemawiać, konferować, o aspektach gastronomicznych nie wspominając. W auli, zwłaszcza w kularach, załatwiano liczne, niekiedy drażliwe kwestie. Piszac książkę, dysponowałem materiałem bezcennym – stenogramami podsłuchów Służby Bezpieczeństwa. Obrazuje to olbrzymi stopień infiltracji ZLP i przekonuje, jak bardzo istotne dla najwyższych czynników państwa było środowisko pisarskie.

Obcując z esbeckim podsłuchem z łódzkiego zjazdu ZLP, odniosłem wrażenie, jakbym stał za zamkniętymi drzwiami sali, gdzie toczono dyskusje poufne. Obfitujące w polemiki, partykularyzmy, małostkowości, intrygi oraz... epitety.

Zatarg pomiędzy Leonem Pasternakiem a Stanisławem Jerzym Lecem rozstrzygnęła Temida?

Nie wiem, czy doszło do rozprawy sądowej, ale poróżniła ich kwestia dziś dosyć błaha, choć wtedy dla zainteresowanych zapewne fundamentalna. Rzecz miała miejsce jesienią roku 1944 w Lublinie, podczas pierwszego zjazdu ZLP. Przybyły z „berlingowcami” Pasternak, który większość drugiej wojny światowej spędził w Związku Sowieckim, zażartował, że Lec wyszedł z lasu (część okupacji spędził w partyzantce), dysponując dużą ilością gotówki. Pojawiło się pytanie, skąd ją miał, i sprawa trafiła do sądu koleżeńskiego. Niestety, dokumenty się nie zachowały. O tym konflikcie wiemy dzięki zapiskom zawartym w niepublikowanych dziennikach Jerzego Kornackiego pt. „Kamieniołomy”. Jego żona, Helena Boguszevska, zasiadała bowiem wówczas w tym sądowym gremium. Wspominała, że adwersarze obrzucali się inwektywami, a emocje brały górę nad racjami.

Sąd koleżeński ZLP okazał się kompletnie niekoleżeński w sprawie zdecydowanie bardziej znanego pisarza Władysława Jana Grabskiego,

swoją drogą występując jakoby w obronie innego pisarza – Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego.

Związkowy sąd zarzucił Grabskiemu „ciężkie naruszenie dobrych obyczajów koleżeńskich”. Po śmierci Gałczyńskiego napisał on poemat nazwany „balladą katolicką”, w którym skonfrontował pochówek sławnego autora – świecki, bez modlitwy – ze złożeniem do grobu zmarłej w tym samym czasie zwykłej kobiety, niejakej Konstancji z Nawrockich Kłosińskiej. Wiedział, że na druk utworu nie ma szans, pokazywał go tylko i czytał kolegom, a w końcu niebacznie udostępnił wdowie po twórcy „Kolczyków Izoldy”. Sprawą zainteresował się Stanisław Ryszard Dobrowolski, który zamierzał się z Natalią Gałczyńską ożenić, i to on rozpętał piekło. W 1954 r. skreślono Grabskiego z listy członków ZLP, przywracając mu prawa członkowskie dopiero na fali przemian roku 1956. Potem nawet wszedł do zarządu oddziału warszawskiego Związku.

Niezależnie od wybieranych władz w ZLP jakoś zawsze nie brakowało osób, które miały do powiedzenia więcej niż inni, mogły bardzo wiele, a – bywało – bano się ich niezmiennie. Choćby takiego Grzegorza Lasoty, dziś pamiętanego jako twórcę filmów dokumentalnych, szefa cenionego telewizyjnego „Pegaza”, co przyćmiło jego wcześniejszą działalność.

Tę doskonale zapamiętał Jarosław Abramow-Newerly, od którego pozyskałem wiele informacji o ludziach i sprawach z dawnych lat. W tym wypadku – z okresu stalinowskiego, kiedy to Lasotę, panoszącego się na zebraniach sekcji związkowych i or-

ganizacji partyjnej, w redakcji „Nowej Kultury”, a i w stołówce literackiej, taki np. Julian Przyboś nazywał „terroretykiem”. Bo i rzeczywiście jednoosobowo decydował, co jest słuszne, a co nie, jego sądy miały moc wyroków, starych, zasłużonych pisarzy ustawiał do pionu, a ci kłaniali mu się uniżenie i tylko po cichu jego zebrane w tom teksty zatytułowane „Kierunek natarcia” nazywali „kierunkiem podtarcia”.

Iwaszkiewiczowski Związek, pomimo takich czy innych zastrzeżeń, w powszechnej opinii uchodził za – na ile to było możliwe – względnie niezależne zrzeszenie, niekiedy zdobywające się nawet na gesty nieposłuszeństwa. Gorzej bywało wcześniej, gdy usuwano z ZLP pisarzy nie za to, co pisali, ale za to, co myśleli i, nie daj Boże, mówili.

Mógł się o tym przekonać Tadeusz Hołuj, kiedy relegowano go zarówno ze związku, jak i z partii, rzekomo za wydaną w czasie okupacji broszurę „Rozmowy bawarskie”, w której namawiał do wyjazdu na roboty do Trzeciej Rzeszy. Prokuratura umorzyła śledztwo; pisarz chciał uchronić przed represjami swojego krewnego, który zresztą i tak, gdy te „Rozmowy...” się ukazały, był już w Auschwitz. Wiedza o tym nie była niczym nowym i jakoś nikomu wcześniej nie przeszkadzała ani w organizacji partyjnej, gdy Hołuj wstępował do PPR, ani wśród literatów. Fakt stał się naganny z chwilą, w której przypisano mu tzw. odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne i krytykę Kominformu, z którą się nie krył.

Związek Literatów Polskich stawał się dla władzy komunistycznej szczególnie ważny w momentach kryzysowych, jak po Liście 34 czy w marcu 1968 r. Swoją drogą jednym z ciekawszych fragmentów pańskiej pracy jest ustęp poświęcony Eugeniuszowi Żytomirskiemu, emigrantowi marcowemu, z zupełnie innych jednak powodów niż można by sądzić.

Ten tłumacz z rosyjskiego, autor sztuk scenicznych i piosenek nie był pochodzenia żydowskiego. Nie był też prześladowany z powodów politycznych dopóty, dopóki nie doniosła na niego żona, powodowana zemstą osobistą, wdał się bowiem w romans z inną kobietą. Tymczasem małżonka ujawniła wiadomym służbom, że współpracował z londyńskimi „Wiadomościami”, gdzie



Wizyta Czesława Miłosza w Polsce w siedzibie Związku Literatów Polskich w czerwcu 1981 r. FOT. TOMASZ ABRAMOWICZ/PAP

publikował pod pseudonimem, utrzymywał też kontakt z Jerzym Giedroyciem. Sprawę pomógł zatuszować nowy teść Żytomirskiego, znany łódzki działacz partyjny. Opowiadał mi o tym obdarzony fenomenalną pamięcią Józef Hen...

99-letni...

Kiedy rozmawiałem z nim na potrzeby książki, miał 97 lat, a sprawę, o której mówimy, znał bardzo dobrze. Żytomirski w gruncie rzeczy wykorzystał sytuację 1968 r. i z nową żoną wyjechał z Polski na zawsze. Do Izraela, dokąd deklarował wyjazd, nie dojechał, na pewien czas zatrzymał się w Wiedniu, nawiązał współpracę z Radiem Wolna Europa, by w końcu zakotwiczyć w Kanadzie, gdzie zmarł w połowie lat 70.

Z pańskiej książki dowiadujemy się, że ćwierć wieku wcześniej tłumaczył się ze swojej okupacyjnej pracy w niemieckim kasynie.

Wyjaśniał, że zatrudnił się tam – w charakterze krupiera – z polecenia Podziemia.

Roman Bratny w „Kolumbach” ukazuje, w bardzo negatywnym świetle, takiego właśnie współpracownika hitlerowskiego, po wojnie nadgorliwego stalinowca. Nazwiskiem Żaboklicki.

Tak, to ta sama postać. Józef Hen mówił mi, że w środowisku o tym wiedziano.

Do czego byli władzy potrzebni agenci w środowisku literackim, te wszystkie podsłuchy, przecież mieli Związek pod kontrolą?

W historii ZLP wyczuwa się pewien dualizm. Z jednej strony, podobnie jak i inne stowarzyszenia istniejące w PRL, był przez partię kontrolowany. Z drugiej strony jednak, władza liczyła się ze środowiskiem pisarskim, któremu przypisywała Bóg raczy wiedzieć jakie znaczenie, uważając, że ma wyraźny wpływ na opinię publiczną, na poglądy i zachowania ludzi. I że podporządkowując sobie literatów czy odpowiednio kształtując ich myślenie, uniknąć będzie można niepożądanych działań społecznych. A to była mrzonka.

Związek w swoim apogeum liczył ponad 2,5 tys. członków, sam oddział warszawski grupował 800 osób. Gdy pisarze jechali na swe zjazdy, to stolica wysyłała 70 delegatów, bo obowiąz-



**TOMASZ POTKAJ
„AKWARIUM. OPOWIEŚĆ
O ZWIĄZKU LITERATÓW
POLSKICH W PRL-U”
WYD. CZARNE 2022**

wała zasada, że jeden delegat przypadał na 10 członków ZLP. Jak ich wszystkich można było skontrolować? Poprzez organizacje partyjne to się nie udawało, gdyż skupiały one nie więcej niż 30 proc. pisarzy. Ręczne sterowanie związkiem nie przynosiło skutków, o czym przekonali się i Jerzy Putrament, i Zbigniew Załuski. Zawierano więc różne koalicje z wewnątrzwiązkową opozycją, tak traktowano choćby grupę skupioną wokół Antoniego Słonimskiego. Szczególnie było to widoczne przy wyborach do władz związkowych, gdy zgadzano się na, powiedzmy, niewygodnych kandydatów za cenę akceptacji osób wskazanych przez organizację partyjną. Swoje znaczenie miało też środowiskowe zaufanie do ludzi uważanych za przyzwoitych czy też przydatnych w konkretnych działaniach, np. rozmaitych komisji związkowych, często o charakterze socjalnym.

Biurokracja też ma swoje wymagania, choć mieszane uczucia budzi przywoływana przez pana opinia Jarosława Iwaszkiewicza, niesłychanie zadowolonego z Jana Marii Gisgesa, wieloletniego sekretarza zarządu głównego, sprawującego na co dzień rządy w Domu Literatury – zasłużonego współpracownika Służby Bezpieczeństwa.

Odciążał go w wielu obowiązkach; Gisges w Domu Literatury był codziennie, Iwaszkiewicz miał wiele innych zadań, poselskich, redakcyjnych, twórczych. Od literackich problemów był Gisges, a mógł bardzo wiele; pisarze wiedzieli, że jego akceptacja załatwiała sprawę, odmowa zaś ją zamykała, oznaczała, że nic z tego nie będzie. To on decydował w zasadniczych dla ludzi pióra kwestiach bytowych, pisarsko zaś wyżywał się w regularnie sporządzanych informacjach na potrzeby SB, co wiemy m.in. z książek Joanny Siedleckiej.

Mówimy i piszemy o Iwaszkiewiczowskim Związku Literatów Polskich, podkreślając to, jak długo był on jego prezesem, nie zauważając, że w końcu ZLP funkcjonuje nadal, a kieruje nim – od 2003 r. – Marek Wawrzkiewicz. Wprawdzie pre-

ciętny Polak nigdy o nim nie słyszał, ale prezesowski staż w ZLP ma niemal tak samo długi jak jego sławny poprzednik.

Pięć razy był już wybierany na preze-sa, toteż zapewne cieszy się zaufaniem podwładnych.

W „Akwarium” cytuje pan ciekawy artykuł Leopolda Tyrmanda z paryskiej „Kultury” z 1967 r. W tych „Porachunkach osobistych” pisał m.in.: „Krwiożerczy opozycjonista Kott mieszka w tym samym domu co premier Cyrankiewicz, podpisuje protesty 34, unicestwia Gomułkę i politykę kulturalną, dostaje paszport zagraniczny i drukuje, co chce. A jeśli raz odmówi mu się paszportu i druku, do walki rusza rodzinno-towarzysko-partyjna rakietą [...]. Kawiarnie warszawskie huczą cierpieniami Kotta, wołając o pomstę do nieba, i w dwa tygodnie opinia publiczna wywojowuje to, co skonfiskowane, zatrzymane etc.” To wszystko prawda, ale poza literatami najwyższej stojącymi w hierarchii środowiskowej była cała masa ludzi pióra klepiących PRL-owską biedę i dobrze się stało, że i ich sprawy uwzględnił pan w swojej książce, choć pewnie przydałby się jej drugi tom, obejmujący to, co się działo w oddziałach związkowych.

Z konieczności skupiłem się na zarządzie głównym związku, na oddziale warszawskim, w mniejszym stopniu krakowskim czy łódzkim, a rzeczywiście sprawy tzw. prowincji literackiej są nie mniej interesujące, lecz inna była ich skala i miały bohaterów o mniej głośnych nazwiskach.

Niemniej to właśnie szef oddziału rzeszowskiego w 2009 r. uznał, że nie chce należeć do związku, którym kierują byli agenci, i zażądał ich ustąpienia, a gdy to nie nastąpiło, zrezygnował z funkcji. Podobnie postąpili prezes katowicki i cały oddział ZLP w Ciechanowie.

I te sprawy, i cała historia oddziałów Związku czeka na swoich autorów. To przebogaty materiał. I bynajmniej nie oczywisty.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Tomasz Potkaj – dziennikarz i pisarz, z wykształcenia historyk. Autor książek: „Kres. Wołyń. Historie dzieci ocalonych z pogromu” (z Konradem Piskalą), „Krzysztof Klenczon. Historia jednej znajomości” (z Alicją Klenczon), „Przekrój Eilego” i najnowszej „Akwarium. Opowieść o Związku Literatów Polskich w PRL-u”.